

Pol Wincenty

**LOSY
POCZCIWEJ RODZINY**

Zdarzenie prawdziwe

Przed kilkudziesięciu laty, mieszkała w Kaliszu pobożna wdowa z córką. Miała ona dom własny na przedmieściu, obejście, sad, kilka kawałków gruntu, trzymała krowy i małą traktyernię. Na piąterku mieszkała sama z córką, dół wynajmowała po jednej stronie na szynk, i wejście do tej części domu było od ulicy. Po drugiej stronie sieni wjazdnej trzymała w trzech pokoikach

traktyernię, lecz nie dawała obiadów, tylko śniadania gotowane i wieczerze; a że sień była wjazdna, a dziedziniec duży, stawało tu wiele ludzi ze wsi, chociaż właściwego zajazdu nie było, i dziedziniec był zawsze pełen bryczek i fur; a jak rok cały nie brakło gości. Mieli się tedy dobrze; trzymali kilkoro czeladzi, odkładali coś grosza z każdym rokiem, a że córka wdowy była i pracowita i bardzo dorodna, trafiali się i ludzie, i nie trudno było o swatów. Wszakże wdowa niechciała młodo wydać córki, a córce było dobrze przy matce jako jedynaczce, mawiała wdowa ludziom: "czas to będzie jeszcze na to". I poczęto się do-

myślać, że albo matka już przyrzekła córkę komuś, albo córka
przebiera i wysoko
patrzy. W istocie zaś nie było ani to, ani owo. Matka wiedziała że
zawsze
jeszcze znajdzie męża dla córki, dla której wiano miała, a córka zajęta
gospodarstwem całego domu, przyjęciem gości i zarządaniem czeladki,
nie myślała o
zameściu i mawiała: "że tylko za tego pójdzie, kogo sobie upodoba. "
Dnia pewnego, kiedy już mieli zasiadać do stołu, oddano wdowie bilet
kwaterunkowy; jakoż chwilę później stanął w dziedzińcu bombardyer
z artylerii
konnej, z transportem, który do garnizonu prowadził.

Wdowa wyszła sama w dziedziniec. wstawszy od obiadu. Na pięknym
gniadym, koniu,
siedział okazały mężczyzna; dwa krzyże ozdabiały pierś jego a
mundur miał
szewronami zaszyty.
Wdowa spojrzała na niego i rzekła: "to nie chłystek jakiś", a że sobie
obiad
przerwała, rzekła grzecznie do bombardyera: "prosimy z konia i do
obiadu. "
Bombardyer podziękował gospodyni za wezwanie, wydał jeszcze
kilka rozkazów,
zsiadł z konia, i szedł za gospodynią powoli do izby. — "Proszę się
rozgościć"
rzekła wdowa. Bombardyer zdjął kask, ładownicę i odpiął pałasz od
boku. Gdy
pałasz brzęknął posta-

wiony w kącie, zadrzała niewiedzieć dlaczego Magdusia w ościennym
pokoju i

wbiegła przeze drzwi; zdziwiona spojrzała na gościa; a lubo zawsze
uprzejmie i
pierwsza gości witała, zmieszana tym razem, stała nieruchomo.
Spostrzegła to
matka i rzekła do niej: "Pan Wachmistrz stanie u nas kwaterą, proś go
do stołu,
a ja wybiegnę jeszcze do kuchni". Tu dopiero przypomniała sobie
Magdusia, że
gościa powitać potrzeba; powitała go tedy nieśmiało i zaprosiła do
stołu.
Wpatrywał się w nią bardzo uważnie, ale nie zasiadł przy stole,
dopóki matka nie
weszła, która sama talerz barszczu niosła. "Myśmy już zaczęli obiad,

rzekła, to niech pan Wachmistrz przebaczy, że będziesz nas sam
dopędzać musiał,
" a nawpół głośno rzekła sama do siebie: "jakiś grzeczny człowiek, bo
się
znachodzi jak gdyby w gościnie a nie na kwaterze".
Trzy dni stał transport Bombardyera w Kaliszu. Bombardyer
oświadczył się pannie,
prosił matkę o rękę córki, i został przyjęty. Człowiek rządzny i
wojskowy i czas
nareszcie aby dom miał gospodarza, pomyślała sobie wdowa i
przyjęła oświadczenie
Bombardyera. Jakoż pisał listy z garnizonu, przysłał Magdusi i matce
kilka
pięknych podarunków, a w trzy miesiące później, już jesienią głuchą,
przybył do
Ka-

lisza z dymisją; stanął gospodą w mieście, rozpatrzył i rozpoznał się z
ludźmi,

uprosił dwóch wojskowych na drózbów, a w domu wdowy na przedmieściu odbyło się sute wesele. I wszyscy podziwiali i chwalili piękną parę, bo Wachmistrz był okazałym mężczyzną a Magdusia była piękną panną młodą. Dom wdowy odżył nowym ładem i rządem. Do traktyerni przybywało coraz więcej gości, bo gospodarz sam bawił ludzi, a wielu nawet obywateli z okolicy dowiedziawszy się o tem, że bywszy wojskowy trzyma gospodę i wziął piękną Magdusię, poczęli do niego zajeżdzać. Postawił

tedy stajnie i wozownie i zrobił porządny zajazd. Wszakże jako wojskowy nie mógł żyć bez koni. Bała się tego zrazu wdowa, ale widząc że zięć był roztropny, że grosza szanował, że miał zł. własnych uzbieranych z wojska, i że co robił, nie na lekko robił — przystała wkońcu na to aby trzymał konie, zwłaszcza, że do obrobienia pola, trzeba było zawsze przynajmować i pociąg, i ludzi i że z doświadczenia wiedziała o tem że koń w takim mieście jak Kalisz zarobi na siebie — bo i oficerowie i przyjezdni goście potrzebowali co chwila podwody.

Pan Maciej tedy, (tak się zwał Bombardyer) bawił się furmanką, i trzymał dwie pary koni na przeprzążkę. Ze dzielnie jeździł na koniu i był instruktorem w baterii, to też okoliczna szlachta, dawała mu do ujeżdżania konie, a często

uczył także jeździć na koniu wyrostków dworskich i paniczów.

Oficerowie

garnizonu polecali go w całej okolicy obywatelem jako najlepszego jeźdźcę, jakoż

znał się tak dobrze jak mało kto na koniach, na zaprzęgach, powozach i wszelkich

przyborach do koni. Więc kiedy trzeba było czy sprządz czwórkę, czy wybrać

wierzchowca, czy sformego

kucyka, wszyscy jak w dym do pana Macieja.

Z każdym rokiem rozszerzała i oporządzała się coraz więcej dziedzina wdowy. I z

furmanki i z handlu koni, był grosz; a że z dwóch stron płynęło, trzymała wdowa

dochody z domu w osobnej szufladce kantorka, a w osobnej szufladce trzymali

Maciejowie swą kasę pod kluczem Magdusi.

Ledwo że trzy lat upłynęło, a Maciej był wziętym człowiekiem tak w mieście, jak

w całej okolicy. Cały garnizon oficerów trzymał mu syna do chrztu, mała

traktyernia, zamieniła się na porządną oberżę,

a pan Maciej był tak szczęśliwy na targach w Łęcznej w kupnie i zamianach koni,

że go już na tysiące liczono i że okoliczna szlachta namawiała go na to, aby

wziął posesyą lub kupił jaki folwark, w czym mu wszelką przyrzekali pomoc.

"Nie o to ja proszę moich panów, gdybym ja we dworze zamieszkał, toby się synowi

zachciewało być już panem, a ja chcę, żeby on był żołnierzem i ojczyźnie służył.

Jeżeli w czym jest łaska dla mnie, to dopomóżcie mi, aby mego Stasia przyjęto do szkoły kadetów. " Jakoż nie dorosł był jeszcze Staś a miał już zapewnione przyjęcie. I Maciej

prowadził go w dnie świąteczne, aby się przypatrywał zabawom i obrotom szkoły kadetów, która w tym mieście była. Kiedy gruszki i jabłka dojrzały w sadzie, wybierał sam Wachmistrz co najdojrzalsze, układał w kosze i odsełał przez Stasia do szkoły kadetów, polecając mu ostro, po wojskowemu: " zameldujesz się grzecznie u oficera od służby i oddasz te kosze dla panów kadetów. Może i ty tam kiedyś służyć będziesz, to trzeba się w kupić w łaskę kolegów. " Tak płynęły lata, a Staś lubo jedynak, nauczywszy się czytać, pisać i rachować, umiejąc już dobrze dosięść kucyka

a nawet i małego konia, został w końcu do szkoły kadetów oddany. Kiedy w dni parę miał już mundurek, przyprowadzili go oficerowie do domu rodziców, wiedząc o tem jak Pan Maciej pragnął tego aby syna ujrzał w mundurze. Pan Maciej był w dziedzińcu i nie wiedział nic o tem, co się tam w izbie gościnnej działo. W pełnym mundurze, postawiono chłopca na stole, a w pół koła obstąpili oficerowie stół, zleciwszy starej słudze, aby nic nie mówiąc w prowadziła babkę i państwa

Maciejów oboje. Kiedy weszli do pokoju, komenderował jeden z oficerów:

" Prezentuj broń! "

Chłopak na stole stojący prezentował broń przed babką, ojcem i matką, a

Bombardyer rozpłakał się. Matka chciała zdjąć chłopca ze stołu, ale oficerowie

niedopuszcili jej.

"Musimy wypić zdrowie domu, kiedy nowy obrońca ojczyzny przybywa".

Babka pobiegła sama do piwnicy po wino, a rodzice młodego kadeta, płakali

rzewnie. Prócz dwóch czy trzech później przybyłych oficerów, byli wszyscy prawie

chrzestnymi ojcami kadeta, i od dzieciństwa znał się z nimi i przywykł był do

ich pieśczoć do zabaw i rozmów z woj-

skowymi. Było to prawdziwe żołnierskie dziecko, i wszystko szło tu na komendę.

Uczta wojskowa w domu państwa Maciejów trwała do późnej nocy, i gdyby był sam

służąc jeszcze w baterii, oficerskie szlify otrzymał, nieczułby się tak szczęśliwym i zaszczyconym, jak tym, że mu cały korpus oficerów

przedstawił syna

w kadeckim mundurze w domu jego, i że pierwszy raz na ich komendę, przed nim

prezentował broń.

"Wiesz Magdusiu, mówił do żony, tak nam się wszystko wiedzie, że się aż boję

tego".

Jakoż majątek powiększał się z każdym dniem, zdrowie służyło, w poważaniu u ludzi rośli, i jedyne dziecię chowało się pod ich bokiem w szkole kadetów, gdzie Pan Maciej znał wszystkich oficerów dla siebie i syna tak bardzo życzliwych. Kiedy w niedzielę lub święto pozwolono Stasiowi dom rodziców odwiedzić, przyprowadzał go i odprowadzał Weteran. Wówczas to musiał ojca witać po wojskowemu; babcia brała go do sypialnego pokoju, i kazała mu odmówić pacierz, a matka kazała mu powtórzyć kilka bajek z Jachowicza; bo się obie bały o to, aby Staś

w Szkole Kadetów nie zapomniał tego, czego go w domu uczyli. Było to na początku Grudnia, Pani Maciejowa. wyjechała była z domu do znajomych Obywateli za zakupnem owsa i siana na zimę. Wiekowa babka wyszła do kościoła, a Pan Maciej harcował na dzielnym koniu po wojskowej rajszuli, którego dla pułkownika ujeżdżał. Wtem zrobił się nagle krzyk i zamęt w mieście, jakiś ruch nadzwyczajny. Oficer wpadł kuryerem na rynek i zawołał silnym głosem: "W Warszawie rewolucya! Moskali wypędzili, kto Polak do broni!".

Na tę wieść nie pytał pan Maciej o nic więcej, ale zwrócił konia i co wyskok

popędził do domu, tu ubrał się w mundur, przypiął krzyże i pałasz,
kazał
świeżego okulbaczyć konia, poczem pojechał do komendanta placu i
zameldował się,
że chce wstąpić do służby.
Obudziło to zapał w całym mieście, bo był to rzeczywiście pierwszy
powstaniec,
który się zbrojno i konno stawił do szeregu.
Pod niebytność jego powróciła i matka i żona do domu, i obie drząc z
przerażenia, blade, wyglądały przez dzień cały przed domem powrotu
Macieja.
Jakoż gdy

się zmierzchać poczynało, powrócił spokojny jadąc stepo, i rzekł z
uśmiechem do
żony:
"Ha dawnoś mnie Magdziu niewidziała w mundurze, wiesz, a to ja się
spasłem na
twoim chlebie, i z ciężką biedą dziś mundur zapiąłem; ale tak leży na
mnie, żeby
mnie i Wielki Książę niepoganił i mógłbym pójść na posełkę; każ
wziąć konia
moja Magdziu, a dajcie mi kieliszek wódki i co przekąsić, bom
jeszcze dziś nic w
ustach niemiał".
Gdy się napił wódki i przekąsił, pytały go i matka i żona.

"Cóż słyhać, na miłość Boską coż słyhać?"
"Dobrze słyhać mówił wesoło, w Warszawie rewolucya, moskali
wypędzili, cały
korpus oficerów i naród aż kipi, zameldowałem się do służby, ale że
dalszych
rozkazów jeszcze niema, powróciłem do was. Czy nie wiesz co się ze
Stasiem

dzieje?"

"Jakto? alboż i Staś już pójdzie do wojny?"

"No nie, rzekł obojętnie, ale wiem że cały korpus stał pod bronią, a że ja w mundurze, a Staś w szeregu, to jużcić nie wypadało mi odszukiwać chłopca. A

chciałbym go jeszcze pożegnać, bo jeszcze tej nocy mogą przyjść nowe rozkazy, i niewiem czy nie ruszę od was nim się dzień zrobi".

Matka poczęła odmawiać pacierze, Magdzia kryła się ze łzami swemi i wychodziła

co "chwila z pokoju, wiedziała znając męża, ie go nic nie wstrzyma.

Ale czuła

to, że się jej szczęśliwe życie zasepia, i że przeczucia męża, który się bał

powodzenia swego, nie były mylne. Wtem przychodziły przez przeciąg tygodnia do

Kalisza coraz nowe wieści od Warszawy, Kraj cały zapalił się wojną, Wielki

Książę ustąpił, wszystkich byłych wojskowych i żołnierzy

wysłużonych powołano napowrót w szeregi wojska Polskiego.

Żałosne lecz krótkie było pożegnanie Macieja z domem. Kiedy szlify po pierwszej

bitwie otrzymał, przybyło całe miasteczko do gospody pani

Maciejowej i wszyscy

winszowali zaszczytu pani Porucznikowej, i odznaczenia się w walnej bitwie

byłego Bombardyera, o czym doniosły gazety i dzienny rozkaz naczelnego Wodza.

Stasiowi na cale trzy dni dano urlop do domu ze szkoły kadetów; starszych

uczniów z tej szkoły, którzy już byli nawpół zdadni do noszenia broni,
powołano
na podoficerów i podchorążych do armii; więc drżało

serce biednej matki, bo i Staś mówił do niej że — na wiosnę, to i my
młodzi
pójdziemy i gdzieś tam przy tatusiu i ja służyć będę. —
Pomiędzy nadzieją a obawą upływały tej rodzinie dni i miesiące.
Kiedy wojsko
Polskie po nieszczęśliwej kampanii wchodziło do Prus, czuł Maciej że
się tu
obowiązki jego wojskowej służby kończą, i niechciał wejść pod
Brodnicą do Prus,
ale pożegnawszy towarzyszy broni, podkomendnych i kolegów,
wziął przepustkę w
moskiewskim obozie, kupił małą kałamaszkę, założył swego
bojowego konia do mej,
którego wziął był jeszcze z domu, a

wziąwszy na nią jeszcze jednego z kolegów, który był z okolic Koła,
pojeźdzał
drogą ku Kaliszowi.
Jesienna szaruga cięła straszliwie w oczy, ołowiane niebo zawisło
nisko nad
ziemią kiedy się Maciej zbliżał ku Kaliszowi. Znajomy żydek spotkał
go przed
miastem, i radził żeby nie jechać przez miasto ale przedmieściem
nałożyć do
domu, bo w mieście wielkie meldunki i kłopoty z Moskalami.
"A co tam słyszeć u mnie?" spytał Maciej, "Pani się ucieszy, rzekł
żyd, a pan
kadet zdrów".

Maciej zaciął konia, popędził w miasto i zajechał wprost do siebie. W dziedzińcu stał parobek, który nie poznał pana, bo się już zmierzchało, ale Maciej poznał go i krzyknął:
"Antek, weź tam konia!"
Głos jego rozległ się po domu i dziedzińcu. Magdalena zbiegła z piętra i uściskali się tak serdecznie, jak się szczerze kochali. Wszakże w tem uściśnieniu wyrywały się łkania z obu piersi; ona czuła jaka żalność wylała się z piersi męża na stratę Ojczyzny, on czuł że jakaś wielka boleść uciska serce jego żony, której i w tej chwili zapomnieć nie może.

Ludzie wybiegli ze światłem. W wojskowych płaszczach otuleni i przemokli do nitki, weszli oba podróżni do pokoju. Maciej rzucił płaszcz i czapkę ze siebie na ziemię, i teraz dopiero wpatrując się w żonę przy świetle, zapytał:
"Magdziu co ci to ? ty w żałobie"?....
"Mama nie żyje Macieju", jęknęła z wykrzykiem żalności i rzuciła się na szyję mężowi.
Maciej zasiadł w swoim krześle i milcząc rozpatrywał się po ścianach i ludziach.
"A Staś", zapytał Maciej po niejkiej chwili.

"Zdrów i żyje" odpowiedziała żona, ale wielką mam z nim biedę, bo się zrywa i chce uciekać do armii, i powiada że on już pod tobą służyć może, i służyć musi".

Maciej rozplakał się a żona poczęła go cieszyć i uspokajać i pytała,
czemby
przyjąć takich gości.
"Ot, wiesz co Magdziu, zrób nam krupniku, bo my przeziębiliśmy i z
obozu wracamy, a
każ tam w gościnnym pokoju pościelić gościowi, bo bez noclegu
jedziemy od
granicy Pruskiej, toby i wypocząć trzeba".

Gdy się przebrawszy, zasiadł z kolegą do krupniku, dopiero tu poczęła
mu się
przypatrywać żona.
"O mój Macieju! jakżeś ty zbiedniał, toto i połowy człowieka niema".
W istocie wychódł był Maciej, jak kruk były czarne włosy kiedy
wyjeżdżał na
wojnę, a teraz były więcej niż szpakowate. Nadto, był ogorzały
bardzo,
zarośnięty i w całej postawie opuszczony; pod oczyma przybyło kilka
zmarszczek a
smutek który wspaniałą jego postać widocznie pochylał, wyrażał się w
jego oczach
tak boleśnie, jakby dopiero łzy otarł. Płakał też kilka razy tego
wieczo-

ra, i nad stratą matki i nad stratą Ojczyzny; a kiedy płakał, pocieszała
go
znowu żona, i zdała się najweselszą i najszczęśliwszą, mówiąc:
"Kiedy Staś żyje a Bóg ciebie powrócił, to dziękuję mu za to".
"Magdziu" mówił na to Maciej, "ja się już nie dźwignę, ja bez
Ojczyzny żyć nie
potrafię".
Jakoż po kilku dniach zachorował na dom, jak to zwykli mawiać
starzy wojskowi,

na brak ruchu, na zmianę pożywienia, sposobu życia i zajęcia i na brak nadziei.

Jeszcze wyjeżdżając na wojnę, kazał żonie konie sprzedać i zwinąć furmanki;

teraz zamknąć dom, gospodę i traktyernię. a nieczynny i smutny chodził tylko po sadzie lub czasami odwiedził syna. Wszystko też w okolicy zmieniło się zupełnie, nie te to już znajomości w sąsiedztwie. Klęska powszechna zamknęła serca. Wielu obywateli i z miasta i z okolicy nie powróciło do domu, wojsko rozwiązane, ten zginął, ów aresztowany, a tamci wyszli za granicę. Nikt się nie zgłasza, nikt nikogo nie szuka; wszystkie stósunki i interesa wzięły inny obrót, a co najgorsza nad korpusem szkoły kadetów objęli moskale komendę, i już ani przystąpić do szkoły, ledwo na mu-

strze wolno było zdaleka widzieć dziecko swoje. Prześladowania też moskali dosięgały wszystkich stanów; codzien nowy rozkaz jakiś, a zdało się że piekło dodaje rady tym, co te rozkazy wydawali. Maciej począł się zamykać w pokoju, bo jak mundur moskiewski zobaczył, to cały dzień nie jadł, a w nocy przez sen zrywał się do broni. Umysł jego był tak wzburzony, że choć już zima była, spał przy otwartem oknie i mówił, że mu potrzeba powietrza, bo go moskal dusi; chciał dom sprzedać; zrywał się na emigrację, a żona siedząc przy jego łóżku po całych

nocach, płakała patrząc na to, że widocznie niknie i że zamęt jakiś
zawłada jego
rozumem, krew mu biła do głowy i ciągle się żalił na gorąco.
"Zobaczysz Magdziu" mówił raz do żony z cicha "oni tych chłopców
porwą, ale ja
pójdę za Stasiem, pójdę i na Sybir. Ty prowadź tak dom jak za
nieboszki matki, a
gdzie jest co wypożyczonego grosza, poodbieraj. Jak oni chłopca
naszego porwą,
to ja pójdę za nim, a ty pamiętaj o nas.
W strasznym niepokoju duszy przeżyła biedna żona i matka, w
obawie o męża i
syna; te straszliwe czasy, w których się ważyły jej losy

Maciej począł od niejakiegoś czasu, pod noc wychodzić z domu,
wracał dopiero o
świecie przeziębły i skostniały prawie wszystek.
"Macieju nie zabijaj się" błagała żona.
"Ja siebie nie zabijam, ja siebie tylko hartuję, abym mógł iść za
Stasiem i żyć
z nim w Sybirze". Gdzie zaś przez noce przebywał, o tem nikt nie
wiedział.
Stary żołnierz miał niezłomną wolę, i zakazał żonie, aby nie śledziła
kroków
jego. Powolną tedy była Magdalena woli męża, chociaż czuła, że się
to źle
skończy. Przeczucie nie zawiodło ojca. Przyszedł straszny rozkaz
porwania
dzieci, i uwiezie-

nia z Kalisza szkoły kadetów w głąb Moskwy. Jęk rozległ się po
całym mieście;

kiedy porywano, krępowano i uwożono dzieci, rzucały się matki przed konie i chwyciły za koła bieżących wozów, aby je zatrzymać. Wszystko na próżno. Na wozach siedzieli żołdacy i przytrzymywali kadetów, a szeregi kozaków, którzy otoczyli wozy, tratując końmi ludzi przeprowadzali ten kondukt. Porwano i Stasia. Tylko książeczkę od nabożeństwa i medalik zdołała mu matka wręczyć, gdy już wozy ruszyły; biegła jeszcze przy wozie, ale kozak oderwał ją

od syna, i roztrącił koniem. Padła na bruk i usłyszała straszliwy jęk Stasia. Ten jęk był pożegnaniem jego ostatnim miasta, domu i rodziców, i ten jęk pozostał jej na całe życie w duszy. Rozkaz porwania dzieci, spadł jak piorun na Kalisz, a jak spadł niespodzianie tak był gwałtownie i w mgnieniu oka wykonany. Maciej nie był jeszcze powrócił z tajemniczego noclegu, kiedy Moskale byli już uwięźli Stasia. W powrocie do domu dowiedział się o tem. Z obłąkanym wzrokiem chwytając się ścian domu, dostał się do sypialnego pokoju; kazał się służącej rozebrać, i położył się w łóżko. Kiedy żona

z rozkrwawioną twarzą powróciła z miasta do domu, już jej nie poznawał i mówił od rzeczy; wpadł w malinę, ratunek był daremny. Po trzech dniach zrywając się

co chwila z łóżka, skonał na rękę żony. W ciągu trzech dni tedy,
straciła
Magdalena po świeżej stracie matki, męża i syna.
Gdy się dobrzy ludzie na pogrzeb zeszli, szeptali sobie z cicha i
smutno o
nieboszczyku i biednym Stasiu. Teraz dopiero wiedzieli już wszyscy o
tem, że
Maciej od niejakiegoś czasu sypiał w lodowni, bo chciał się
zahartować, aby mógł
iść za synem na Sybir. Wszyscy wiedzieli o tem prócz kochającej
żony, i choć nie
trudno było prze-

widzieć, że się to skończy chorobą, prawie pojąc trudno, czemu nikt
nie
ostrzegł, a przecież tak było.
Osierocona niewiasta prowadziła żywot smutnej wdowy i
nieszczęsnej matki;
szczęściem jej było, że miała dwie stare poczciwe sługi, które jej bóle
dzielili, i pocieszały ją w ciężkim smutku.
Gdy po roku z ciężkiej boleści ochłonęła, robiła zabiegi, aby powziąć
jaką
wiadomość o Stasiu. Ale wszystko było daremne. Pisała listy i prośby,
odpytała
niby nawet miejsce jego pobytu, posłała mu parę razy pieniędzy, ale
ani słowa
odpowiedzi nie było, ani na jej prośby, ani na jej

posyłki. Przeciwnie, okazało się nawet po upływie lat trzech, że
chciwi ludzie
wyłudzali od niej pieniądze na te pošyłki i prośby, więc opadały jej
ręce; we
śnie nieraz widziała Stasia, ale zawsze śnił jej się tak samo, bo w tej
chwili

kiedy już książeczkę oddawała porwanemu od moskali, a potem
padała stratowana
koniem na bruk, słyszała serdeczny krzyk swego dziecka; ten krzyk
budził ją ze
snu, i poczciwe sługi, które przy niej sypiały, musiały ją cieszyć za
każdą razą
i uspokajać ją na nowo, gdy się ze snu takiego zerwała.
Gospodarstwo stało w pierwszych dwóch latach tylko staraniem sług
poczciwych.

Magdalena robiła wszystko bez myśli, ale robiła jak dawniej; chodziła
po domu i
obejściu, odmykała i zamykała wszystko, a w niedzielę chodziła po
mszy świętej
na cmentarz, a wypłakawszy się na grobie matki i męża, wracała
spokojniejsza do
domu. Patrzyli na to ludzie i litowali się nad biedną niewiastą; a że
była i
własność piękna i grosz gotowy jeszcze i po matce i po mężu, nie
trudno i o
swatów było.
"Do czego to wszystko, mówiły starsze niewiasty, mąż w grobie,
kobieta młoda,
dziecko zginęło, to trzeba ją poswatać". I co kilka tygodni trafiali się
ja-

cyś nowi ludzie, niby zdaleka i od niechcienia, chociaż już w pierwszej
zaraz
rozmowie święciło się, o co chodzi.
Magdalena odprawiała grzecznie i swatów i ludzi, którzy się jej
trafiali; ale
zmęczona wkońcu tym szamotaniem się, umyśliła sprzedać dom i
grunta, i wynieść

się w inną stronę, gdzieby jej ludzie nie znali, to jej i nachodzić nie
będą, i
nastawać na to, aby się za męża wydała.
Lubo jeszcze młoda i piękna, ślubowała na grobie pozostać wdową do
śmierci, a to
co po matce i po mężu pozostało, przechować wiernie Stasiowi, bo
nigdy się nie
mogła rozstać z tą nadzieją.

aby nie miała jeszcze odpytać i odszukać Stasia, lub żeby kiedy on do
niej nie
miał jeszcze powrócić.
Chcąc powziąć jakieś stałe postanowienie, wybrała się Magdalena z
jedną z
pocziwych służ swoich na odpust do Częstochowy. Tu
wyspowiadała się z całego
żywota swego spowiednikowi. Pocziwy był jej żywot od dziecka, i
kapłan widział,
że tu nietyle pokuty, ile przy Sakramencie łaski i dobrej rady potrzeba.
Upomniął ją tedy, aby po mężu złożyła żalność z serca i ofiarowała ją
Bogu, a
Stasia żeby ofiarowała Matce Boskiej Częstochowskiej, to będzie
bezpieczny, bo

Królowa wdów i sierót będzie czuwać nad nim. Czy ma oddać komu
rękę, czy nie,
ani radził, ani odradzał, ale nie był od tego, słysząc że tylko grób męża
odwiedza, a zresztą u nikogo nie bywa i nikogo nie przyjmuje w
domu; nie był od
tego, aby dom sprzedała i przeniosła się w inną stronę, gdzieby ją nie
nachodzili swaty. Jak poradził, tak uczyniła, i dziwna spokojność
wstąpiła w jej
duszę. Bawiła trzy dni w Częstochowie, i kiedy już na odejściu
chciała pożegnać

spowiednika swego, zapytał on o nazwisko syna, i dowiedział się o
wszystkich jej
usiłowaniach, które czyniła w celu odszukania dziecka.

Poczem rzekł: "Bywają tu u nas w Częstochowy różne przejezdne
osoby z głębi
Moskwy, to może mi się uda powziąć wiadomość o Stasiu. Nie
przysięgam z
pewnością, ale mówię: może — módl się na tę intencją, aby mi Pan
Bóg dopomógł
odpytać twę dziecię, i ja się modlić będę; a na Matkę Boską
Różańcową, jeżeli tu
będziesz mogła być w Częstochowy, może ci dam jaką wiadomość o
Stasiu".

Było to w Maju. Do Matki Boskiej Różańcowej było jeszcze daleko,
ale duch
wstąpił w strapioną niewiastę, i nowa nadzieja ożywiła jej serce.
Nietylko
spokojna ale wesoła prawie powróciła z odpustu do

domu, bo zrobiła sobie takie votum, że będzie szyła koszulkę na miarę
Stasia, a
jak będzie uszyta, to ją odda najbiedniejszej sierocie, i będzie to
czynić, póki
Staś do niej nie wróci.
Jakoż powróciwszy do domu, zastała już tę wiadomość, że jakiś
majętny
przedsiębiorca oglądał jej własność, i że ją chce nabyć na fabrykę, bo
szuka
obszernego miejsca. Więc jeszcze tego samego dnia, kiedy dobywszy
płótno, dla
sierotki skroiła koszulkę, wszedł do pokoju kupiec, pytając czyby mu
nie

sprzedała domu ze wszystkim co do niego należy. Widząc wdowa że się tak
wszystko składa po jej

myśli, odłożyła do dnia następnego targ, zaprosiła dwóch dawnych przyjaciół
nieboszczyka męża, i sprzedała dom przy świadkach. Sprzedaż była tem
korzystniejszą, że nowy nabywca zapłacił dom ze wszystkimi sprzętami i z całym
gospodarskim zakładem. Wdowa odstąpiła mu do roku część domu na mieszkanie, a
przyjaciele nieboszczyka zrobili nabywcy uwagę, że się nie godzi pocziwe sługi
tak bez niczego odprawiać z domu, gdzie wiernie służyli. Jakoż była to ze
słusznym człowiekiem sprawa, i dał dwom sługom po zł.
poręczawicznego przy
podpisaniu umowy.

Od tej chwili ożyła dawna jej czynność i staranność we wszystkim. Zajęła się
postawieniem trzech pięknych krzyżów na grobie ojca, matki i męża. Na
wyzłoczonych blachach kazała wypisać imiona, nazwiska, dzień i rok śmierci, i
odprawiła żałobne nabożeństwo, sprosiwszy na nie dawnych przyjaciół, których od
śmierci męża nie widywała; następnie zajęła się spakowaniem swoich rzeczy,
kupiwszy parę nowych skrzyń i kufrów; wybrała co lepsze, rozdarowała starzyzny,
a z pamiątek wzięwszy tylko mundur męża, koszulki Stasia, starą porcelanę i

sreberka po matce, i Matkę Boską Częstochowską,

najęła wielką krakowską brykę, spakowała wszystko, a wraz z oboma wiernymi

sługami siadłszy na brykę, pożegnała ze łzami ten Kalisz, w którym się urodziła

i gdzie wszystko straciła co jej było drogie.

Jedna z jej sług była rodem z Warszawy, i radziła pani swej aby osiaść w

Warszawie, bo to wielkie i wesołe miasto; człowiek tam zginie, jak się niechce z

ludźmi widzieć, to go nikt nie znajdzie, a żyd może jak zechce, bo to Warszawa.

Jakoż furman był aż do samej Warszawy najęty, i wdowa szukająca nowego

siedliska, zajechała w gospodę na Furmańską ulicę. Warszawianka tłumaczyła pani

swojej wszystko, a Magdalenę zajął bardzo widok Wisły, kiedy się nazajutrz

poszła rozpatrywać wkoło.

"Wiecie Barbaro, mówiła do starej sługi, jabym tu nad tą, Wisłą chciała gdzie mieszkać".

"To i dobrze, odpowiedziała Barbara, jużcić bez domu nie będziem, jużcić dom

musimy sobie kupić albo tu na Pradze, albo tu na Szychtach; upatrzę czysty

domeczek i założym gospodę dla szyprów; mój ojciec był szyprem, to i mnie tu

będzie wesoło nad Wisłą".

Jakoż do kilku dni upatrzyła Barbara dworeczek z pięknym podwórkiem i drwalnią.

Grosz był gotowy, cena nie zbyt wielka. Po czterech tygodniach, skupowała Magdalena z Barbarą sprzęty i naczynia, bo już we własnym siedziały dworeczku. Z jednej strony były dwie izby przy kuchni, tu tedy założyli gospodę; a z drugiej były dwa pokoje z alkierzem i spiżarnią, te zamieszkały sanie. Po niej jakim czasie ściągęli się ludzie do gospody, i choć dochód nie był zrazu duży, wystarczało na wygodne życie, bo Wisłą codzien nowi przybijali goście do brzegu, a gospoda pani Maciejowej zasłynęła na powiślu. Nikt jej tu nieznał, nikt o jej przeszłość nie pyta, nikt ją nie dręczył swatami; ale że była grze-

czną i żądną, nie zdzierała ludzi, że zawsze miała coś gotowego do dania, czy to w mięsny czy w postny dzień, siedzieli goście przez dzień cały za nakrytym stołem; a do domowników przybyła tylko dziewczyna od krów, parobek do obejścia i brytan na straży; więc było i bezpiecznie i wesoło, jak dzień Boży zajęcie, że tylko w niedzielę wychodziły z kolei niewiasty do kościoła. Nadeszła wkońcu jesień, Barbara pozostała na gospodarstwie w domu, a Magdalena udała się z drugą sługą na odpust do Częstochowy, bo już tylko kilka dni było do Matki Boskiej Różańcowej.

Kiedy w Częstochowie stanęły, udała się Magdalena prosto do kościoła; w konfesyonale siedział jej spowiednik. Z bijącym sercem spojrzała na niego jak gdyby miała wyrok śmierci z ust jego otrzymać, ale nie śmiejąc przemówić do niego w kościele, uklękła tuż w pobliżu konfesyonau, i modliła się. Poznał ją spowiednik, przewrócił kilka kartek w brewiarzu, dobył z niego karteczkę, i nachylając się ku niewieście, rzekł: "Przeczytaj tę karteczkę a jutro przyjdź do spowiedzi". Sługa, która tuż za Magdaleną klęczała, spostrzegła karteczkę, i po krótkiej mo-

dlitwie wyszły obedwie z kościoła. Łzy leciały takim potokiem Magdalenie z oczów, iż kiedy za kościół wyszła, niemogła przeczytać karteczki. Sługa nie umiała czytać, i poczęła się niecierpliwić, bo była pewną że to karteczka od Stasia. "Co też jejmość już beczy a beczy, ot nie ma czego, to znać karteczka od Stasia". Jakaś pani stała tuż obok niej i patrzyła z rozrzewnieniem na Magdalenę. "Co to pani?" zapytała. "Nie widzę, bo łzy mi zasłaniają, świat. rzekła Magdalena, to nie mogę przeczytać tej karteczki!"

Nieznajoma pani przysunęła się bliżej i rzekła: "Jeżeli wolno, to ja ją przeczytam".

"Proszę" rzekła Magdalena drząc cała. Nieznajoma czytała powoli, ale bardzo wyraźnie:

"Stanisław Mazur, rodem z Kalisza żyje, jest zdrów i wyrósł, uczy się dobrze, pobożny i porządny młodzieniec; jeżeli matka chce żeby do niej powrócił, niech się do niego nie zgłasza, nie pisze, nie posła pieniędzy. Ma on opiekę kochającego serca."

Z Petersburga dnia.....

"Litwin Katolik".

Magdalena padła na ziemię, i omdlała u stóp czytającej nieznajomej pani. Sługa

wyrwała karteczkę.

Mdłości, to nie rzadka rzecz na odpuszcie w Częstochowie; zbiegło się coś ludzi,

podano wody, ocucono Magdalenę, a kiedy do siebie przyszła, odprowadziła ją

nieznajoma pani wraz z sługą na gospodę. Dobrze zrozumiał to spowiednik, że

biedna wdowa po przeczytaniu karteczki, za ledwie nazajutrz zdoła przystąpić do

spowiedzi, jakoż omdlała jeszcze dwa razy dnia tego, i pobożna pani która do

niej prawdziwego serca nabrała, dowiedziawszy się o wszystkim od sługi, nie

odstępowała

jej przez dzień cały. Obie odczytywały karteczkę już po tysiacy raz,
co pewna
tylko było to, że Staś żyje, i że wieść, którą o nim spowiednik podał,
nie mogła
być fałszywą.
Nazajutrz po spowiedzi chciała się Magdalena od spowiednika
dowiedzieć o tysiacy
jeszcze innych rzeczy, ale spowiednik milczał.
"Dziękuj Bogu mówił, i Matce Boskiej za pociechę, którą ci zesłała, ja
ci nic
więcej ani powiedzieć nie umiem, ani mogę, bo muszę szanować
tajemnicę i drogę
na której mnie ta karteczka doszła. Jak tu od

dziś za rok będziesz, może ci znów dam wiadomość o twym dziecku.
I znalazła się po roku w brewiarzu spowiednika, znowu karteczka na
takim samym
papierze pisana, tą samą ręką i teź samej treści, z tą tylko różnicą,
iż
donosiła, że Staś został oficerem.
Bóg trzymał widocznie na próbie biedną wdowę. Kiedy po roku
przybyła na nowo na
odpust, nie żył już jej spowiednik, i nie się urwała bez śladu.
Chodziła,
pytała, płakała, lecz wszystko napróżno. Pierwszy raz niepokieszona
wróciła z
tej drogi, ale jak była uczyniła votum, wzięła za powrotem znowu
koszulkę do
ręki, którą dla nie-

znanej sierotki szyła, i ocierając nią łzy, odłożyła ją na stronę. Noc
była
ciemna a z wodą od Wisły powrócił parobek i powiada:
"Coś tam między szychtami bardzo żalobliwie płacze".

Zerwała się Magdalena usłyszawszy że dziecko jakieś płacze, a
kazawszy zapalić
latarkę, udała się z parobkiem i sługą nad Wisłę. Była to chłodna i
dżdżysta noc
jesienna. Ciemna jak oko wykol, pomiędzy spławami siedziało małe
może
pięcioletnie dziecko, chłopczyzna nędznie łachmanami odziany, drżał
od zimna i
jęczał tak żałośnie, że głos ten podobny był raczej do

wycia jakiegoś zwierzęcia niż do głosu dziecka. Parobek przyświecił,
ale u
dziecka niemożna się było niczego dopytać. Magdalena kazała
dziecko wziąć do
domu, ogrzano je przy kuchni i pokarmiono, poczem biedne zasnęło.
Kilka dni upłynęło zanim się można było rozgadać z dzieckiem, widać
jakaś
sierotę ktoś flisakom na galar śpiącą położył; a gdy się opatrzyli w
drodze,
wysadzili snadź na brzeg dziecko pod Warszawą; bo nieraz tak się
zdarza, kiedy
się sierota ludziom we wsi sprzykrzy, to ją dają na galar i wysadzić
kaza pod
Warszawą, a tam gdzie się dużo ludzi roi, stworzeniu Boże-

mu przecież zaginać nie dadzą. Tak tłumaczyła Barbara jako córka
Szypra, losy
tego dziecka. Nazajutrz ukąpane dziecko, nie umiało ani pacierza, ani
wiedziało
z jakiej wioski; tyle tylko dowiedziano się z ciężką biedą że go ludzie
Staś
wołali.
"Ha, to będę już miała komu dawać te koszulki" rzekła Magdalena, i
Staś chował

się odtąd w jej domu.

Tak upłynęło znowu lat kilka; Magdalena nabrała przywiązania do niego, a sługi mawiały: "za tamtego Stasia dał Bóg tego Stasia", i ludziom zdawało się nawet że to syn pani Maciejowej.

Od śmierci męża było upłynęło przeszło lat dwanaście, a nigdy nie odnawiała się żalność w sercu Magdaleny za mężem i synem tak bardzo, jak w czasie świąt dorocznych.

Kiedy w dniu Wili Bożego Narodzenia nie było się z kim przełamać opłatkiem, ogarniała żalność duszę na całe święta.

Kiedy święconem zastawiono stół, i przyszło obdzielić się jajem, stawała cała przeszłość biednej wdowie przed oczyma, i przepłakała zwykle całe święta. Ztąd też, lubo Magdalena nie zapraszała nigdy nikogo do domu, podejmowała wszystkich w czasie świąt bardzo gościnnie, i starała

się bardzo o to, aby nie była sama. Większe tedy przygotowania były w domu,

kiedy się zbliżały święta. I w tyra roku tedy kazała przedeświęty obielić i

wymyć całą izbę, zastawiła wielki okazały stół przy jednej ścianie, napiekła

bab, placków i mazurków; a ufając łasce Bożej, że się ktoś przecie znajdzie, kto

biedną wdowę w czasie świąt nawiedzi z dalszych lub bliższych znajomych, że

przyjąć będzie mogła i obdzielić święconeni, czy ubogie czy sieroty;
radowała
się w sercu i krzątała się bardzo wesoła po domu, ostatnich dni
wielkiego
tygodnia.

Była to wielka Sobota. Już od południa poczęła zastawiać w domu stół
ze
święconem. Każdy półmisek jak z kuchni wychodził, szedł już prosto
na nakryty
stół, i Staś pomagał mamie (bo tak się nazywać kazała) przy tej
robocie.
Uszczęśliwiony i choinką, w którą nietylko stół, ale i całą izbę ubrano,
i
barwinkiem złożonym w który strojono baby i placki, i pisankami, z
których
każda, prawie była odmienna, i piramidami, z rzerzuchy, które ten
stół, w
wiosenny zamieniały ogród; słowem, wszystkim co się na tym stole
zebrało,
wszystkim co co chwila przybywało,

był Staś uszczęśliwiony i pragnął mamę we wszystkim wyręczyć.
Zmierzchać się już poczynało, kiedy Magdalena nalawszy święconej
wody na czarę,
postawiła ją na stole przed barankiem z masła; poczem dobywszy
kropidełko z za
obrazu Matki Bożkiej, chciała je położyć przy święconej wodzie, żeby
jak Ksiądz
przyjdzie było wszystko pod ręką; ale przypatrując się kropidełku,
wydało jej
się nie świeże, rzekła tedy do sług starszych:
"Idźcie wy na Rezurekcyą, dziewczyna ze Stasiem niech zostanie w
domu przy

święconem, a ja pobiegnę jesz-

cze kupić kropidełko nowe, bo kiedy tak wszystko wydarzone, to niechże i dla święconej wody nie będzie urazy. Aneczko, mówiła — opraw cztery świece i postaw je na stole; jak świece oprawisz, zaświeć je, bo mogłoby być, że Ksiądz będzie przechodził tędy nim powrócę, to niech w izbie będzie widno i wesoło; a prosić Księdza dobrodzieja na kieliszek wina jak oświęci stół". To dodała już do Stasia i wybiegła. Jak kazała, tak się stało; cztery świece gorzało i rządny stół zastawiony suto, miał pozór świąteczny. Staś był tak uszczęśliwiony, że mu się aż oczy śmiały; dziewcz-

czyna objaśniała świece a drzwi do sieni stały otworem, bo nikt ich niezamknął odkąd wdowa wybiegła za kupnem kropidełka. W tem się ozwał w sieniach głos mężki. — Czy tu jest gospoda Pani Maciej owej? Był to oficer Moskiewski, który oto zapytał. — Z przestraczem odpowiedziała dziewczyna: "Tu — ale czego Pan oficer chce? tu niema gospody dla wojskowych, u nas tylko szyprzy od flisu stawają, — A gdzie jest Pani Maciejowa — zapytał oficer. "Poszła do miasta" — — Kiedy wróci?

"Niewierny" — rzekła dziewczyna niechętnie — i chciała Moskalowi wychodząc z izby drzwi zamknąć przed nosem. On szepnął do niej słów kilka zcicha i przytrzymał ją w sieni.
"Andziu niezostawiaj mnie samego, krzyczał Staś w izbie. Na ten krzyk i szept nadeszła Magdalena, sień była ciemna i tylko promień światła wpadał z izby przez uchylone drzwi. W biednej wdowie zburzyła się krew, niewidziała co zaszło, pchnęła oficera ręką. i rzekła gwałtownie:
"W moim domu dla wojskowych nie ma miejsca — idź pan sobie zkąd przyszed-

łeś — proszę wychodzić bo ja zamykam drzwi" — i posunęła oficera ku drzwiom.
Milcząc wyszedł z sieni — a ona zatrzasnęła drzwi. Z oburzeniem pytała Andzi zkąd się ten człowiek wziął i czego chciał.
"Pytał o panią, mówiła, przestraszona Andzia, i pytał czy Staś jest synem Pani?"
Co komu do mnie i do Stasia, rzekła wdowa, jeszcze Moskiewskiemu oficerowi; źle tu trafił. Cóżżeś mu odpowiedziała?
A nic, bo kiedy mu odpowiedzieć miałam, nadeszła pani".
Jeszcze na Wielkanoc trzeba mi tu

Moskala, mówiła wdowa z oburzeniem, biedny chłopiec przestraszył się Moskala".
W tem było słyhać kołatanie do drzwi. Był to Ksiądz, który widząc dobrze

oświetloną izbę, domyślał się że stół jest zastawiony. Andzia otworzyła mu drzwi i Ksiądz poświęcił stół. Jak zwyczaj, prosiła wdowa Księdza na kieliszek wina. Przyjął go mówiąc, że na dziś obszedł już wszystkie domy parafian. Andzia widząc że oficer stoi w niejakim oddaleniu od domu na obejściu, zamknęła drzwi na klucz, za Księdzem kiedy wychodził. Po niejakim czasie słyhać było znowu kołatanie do drzwi, i głos starej Barbary za drzwiami. Niecier-

pliwiła się ona wchodząc do sieni, a wpadając nagle do izby, rzekła wzruszona do pani.

"Co też wam tu Pan Bóg dał zamykać drzwi i wypychać ludzi za drzwi! ta to nię Moskal, ta to nasz panicz, nasz kadet Stasio — stoi tam w dziedzińcu i płacze".

"Co?!" Krzyknęła wdowa, stara Barbara wybiegła i wprowadziła do izby nagle oficera, który się do stóp matki rzucił.

W tej chwili uderzono na Rezurekcya, we wszystkie dzwony w mieście. Płacz i jęk serdeczny, napełnił cały dworek. Ksiądz wikary widząc co zaszło, pozostał jeszcze jakiś czas dopóki się nie wyjaśniły rzeczy.

"Jaki podobny do nieboszczyka Pana, wołała Barbara, ta to żywy portret jego".

Magdalena wpatrywała się w rysy syna; a on klęczał u stóp matki.

"I cóż ty synu nie Moskal" — spytała go zaledwie dosłyszonym głosem.

— Nie mam.

"Nie krzywdzisz ludzi — nieodstąpiłeś wiary?"

— Nie matko.

"Nie złamałeś języka?"

— Wszak mówię po polsku.

"To niech będzie Bóg wielki pochwalony przy tym świętym zmartwychwstaniu"

"Amen" rzekł Ksiądz, a za nim wszyscy — powinszowali, tak wesołego zaczęcia świąt, i oddalił się.

Przez noc całą paliło się światło w dworku wdowy. Przy łóżku matki, przesiedział syn nierozbierając się noc całą, i całą noc przegadali. Ona mu opowiadała losy swoje, a on jej opowiadał kolej swej wojskowej służby.

Cóż cię ustrzegło od zepsucia i zgorszenia w tem nieszczęsnym wojsku Moskiewskim ?

"Pamięć na dom i Ciebie Matko — i ta książeczka.

Tu dobył oficer z za munduru małą książeczkę od pacierzy, którą mu matka była

dała w ostatniej chwili gdy go dzieckiem porwano z Kalisza.

Dobywszy książeczkę

pocałował ją z czcią i oddał ją Matce.

— Ta książeczka była moim Aniołem stróżem. Odczytywałem ją zawsze całą, i

wystarczała dla mnie bom nie odstąpił od wiary, chociaż mnie bardzo kuszono.

Ze łzami rozpatrywała się matka w tej książeczce:

"Ale tu jest jeszcze coś więcej?"

— To co było, rzekł syn, wierszyki i przypowieści Jachimowicza, których mama uczyłaś mnie jeszcze dzieckiem; po tej książeczce zachowałem wiarę, a po tych wierszykach serce polskiego dziecka.

"Ależ to ta książeczka tak pięknie i świeżo oprawiona?"

— Kazałem ją być oprawić w srebro zostawszy oficerem, bo była już zczytaną i podartą zupełnie. Kupiłem sobie nową książkę Ołtarzyk Polski, z której się teraz modłę.

Tu dobył z kaska książkę od nabożeństwa kosztownie oprawną. Biedna matka widząc w tem wszystkim zrządzenie Boże, przytuliła głowę do poduszki i płakała. Nagle poderwała głowę jak gdyby sobie coś przypomniała i sięgnęła po własną książkę od nabożeństwa, która na małej pułeczce w głowach leżała; a dobywszy z niej dwie karteczki, te same

które jej spowiednik w Częstochowie był oddał od syna, zapytała go: "Czy znasz to pismo? Czy wiesz co o tych kartkach" ?

Oficer odczytał i rzekł zdziwiony: — O kartkach nic nie wiem, ale znam to pismo, bo to święta ręka mego nauczyciela.

"Któż to jest ten Litwin Katolik?" — Nic innego nie umiałbym mamie powiedzieć, jak — że jest najzaciejszym człowiekiem, najgorliwszym katolikiem i polakiem.

Książeczka ta była moim Aniołem Stróżem, i żałowałem nieraz, że mnie bab-

cia i mama więcej modlitw nie nauczyła, bo tylko wtenczas byłem z wami, kiedym się modlił z tej książeczki.
Gdy nas porwano z Kalisza, wieziono nas bardzo spiesznie, wielu z nas rozchorowało się i pomarło w drodze z tęsknoty i z przestachu; lepiej było gdyśmy już w szkole kadetów w Petersburgu umieszczeni zostali, ale tu nie słyszałem już polskiego słowa, a przez drogę nauczyłem się zaledwo kilka zapytań i kilka odpowiedzi po moskiewsku. W szkole kadetów była wielka okazałość, czystość i dbałość o nas, ale srogą była ręka, która nas trzymała, a szczególnie dla Polskich dzieci była po-

groza wielka. W sali gdzieśmy sypiali, paliły się lampy przez noc całą, i stary żołdat trzymał noc całą wartę, chodząc w berlaczach cicho po sali; podchodził do każdego łóżka i szpiegował, czasem tylko usiadł w wielkim krześle i drzemał.
Wówczas to dobywałem z pod poduszki książeczkę moją, i od pierwszej kartki do ostatniej odczytywałem wszystkie modlitwy, których mnie babcia uczyła; i wszystkie wierszyki Jachowicza, których mnie uczyła mama, a potem dawałem sam sobie pytania i odpowiedzi jak gdybym rozmawiał z babcią, z mamą, z tatkiem i z domownikami; poczem pocieszony usypiałem, bom

widział że jeszcze nie zapomniał po polsku.
Miałem pojętność do języków, i do trzech miesięcy mówiłem dobrze po moskiewsku.
Raz usnąłem był odmawiając pacierze z książeczki, ale żołdat. który nocną straż trzymał w sali, przedrzymawszy się spostrzegł że w ręku na poduszce trzymał książeczkę; zbudził mnie tedy i zapytał co to znaczy? Przestraszony rzekłem mu że to jest książeczka Boga Rodzicy, którą mi matka dała. "Nie wolno mieć książki żadnej" rzekł surowo, odebrał mi ją i począł przy lampie przewracać kartki, a ujrzawszy obrazek Matki Boskiej Częstochowskiej

westchnął, ucałował go ze czcią i powtórzył: "nie wolno żebyś miał przy sobie taką książkę, " poczem schował ją do munduru i odbywał dalej wartę po sali.
Zanosilem się od cichego płaczu, bom czułem, że i książka dla mnie stracona i że kara będzie. Kilka razy zatrzymywał się żołdat nad moim łóżem, widząc że nie śpię i płaczę, a kiwając głową mówił: " biedny malczyk!"
Rozumiałem że nazajutrz zostanie pociągnięty do tłumaczenia, ale dzień jeden, drugi i trzeci przeminął, a nikt mnie o książeczkę niepytał. Po trzech dniach rzekł żołdat do mnie, gdy już wszyscy spali:

"Chcesz się pomodlić, to ja tego nie bronię, ale książeczka będzie u mnie, a nie

u ciebie, bo by ją, znaleźć mogli przy rewizji, a ja byłbym karany".
Codzień
tedy później dawał mi książeczkę gdy wszyscy już usnęli; nie miał nic
przeciwko
temu, że klęcząc odmawiał modlitwy i brał zawsze książeczkę do
siebie chociaż
nieraz usnąłem trzymając ją w ręku.
Tak przeszedł mi rok pierwszy.
Najsurowszem z wszystkich naszych profesorów, był profesor
matematyki i rysunku,
a że go się bał bardzo, uczyłem się najlepiej matematyki i
rysowałem najlepiej
w całej szkole. Po pierwszym egza-

minie rocznym dostałem galonki, ale w tym czasie właśnie otrzymał
sołdat, który
nas nocą pilnował, dymisyję i książeczka moja przepadła. Na miejsce
dymisyjonowanego przyszedł inny, znacznie młodszy i surowszy, i tak
przeszedł
czas wakacji.
Z pamięci powtarzałem modlitwy i wierszyki Jachowicza, ale byłem
w wielkiej
obawie, bo mi się zdawało że z czasem wszystko zapomnę. Raz
gdyśmy się w
dziedzińcu bawili, odezwał się głos profesora matematyki w
otwartym oknie:
"Mazurów" krzyknął na mnie, bo tak zapisano mnie do listy kontroli;
struchlały
biegłem na piętro; kiedy wszedłem do pokoju profesora,

zamknął drzwi na klucz, drżałem z przestachu, niewiedząc co na
mnie spadnie;
wziął mnie za rękę i zaprowadził do drugiego pokoju; "czto jeto?"
zapytał — i

pokazał mi moją książeczkę leżącą na stole. Soldat otrzymawszy dymisią zeznał profesorowi że pozwolił mi się modlić tajemnie, i oddał mu moją książeczkę. Struchlałem ujrawszy ją, ale profesor rzekł łagodnie: "Niebój się, i powiedz mi, jak się od tego czasu modlisz gdy książki nie masz?" Milczałem, bom się bał, iż i zato karanym będę, że z pamięci odmawiam modlitwę. " Mów prawdę" rzekł mi profesor po polsku. I pierwsze to było słowo, któ-

re z ust jego po polsku wyszło. W radości serca pocałowałem go w rękę i rzekłem: Odmawiam modlitwy z pamięci. "Ty umiesz wszystkie ?" — Umiem, rzekłem. Wziął książkę do ręki i od pierwszej aż do ostatniej karty wyrecytowałem mu dobrze całą książeczkę. — Poglaskał mnie z dobrocią i dał mi dwa jabłka. " Widzisz rzekł po niejkiej chwili — że książeczka nie jest ci potrzebną, kiedy ją umiesz na pamięć, a mógłbyś być za nią karany; więc książeczka zostanie u mnie, jak się dobrze uczyć będziesz i skończysz szkołę Kadetów, oddam ci ją, bo kiedy to pamiątka od matki, to trzeba ją zachować;

a gdybyś co miał zapomnieć, to się zamelduj do mnie, a ja pozwolę ci poczytać w książeczce. Teraz milcz i nie mów nic otem co zaszło". Od tego czasu, brał mnie częściej profesor do pokoju swego, ale kiedym

wychodził, wymyślał zawsze na mnie ostro, jak gdyby kończył
wygovor, tak, iż
wszyscy się dziwili w szkole, że mnie tak nie lubi. Był to Litwin z
Wileńskiej
młodzieży, zesłany w żołdacy przed dziesięcią przeszło laty; ale że
zdolny,
został oficerem i profesorem w szkole Kadetów. W korpusie nikt
nie wiedział o
tem, i wszyscy mieli go za najtwardszego Moskala, najbardziej też do-

kuczał na pozór młodzieży polskiej, ale tak ją prowadził, że z małymi
wyjątkami,
byli tylko Polacy i Litwini celującymi w korpusie uczniami.
W ciągu drugiego roku, wziął mnie do gabinetu do pióra Tu uczyłem
się wszystkich
moich lekcji, ale te nie wiele zajmowały czasu, lecz nauka języków i
rysunki,
były to głównym zadaniem. Każdego dnia z kolei odbywałem inne
ćwiczenia, i
musiałem przez dzień cały tym językiem mówić z profesorem jedynie,
na który
przypadała kolej. Tak nauczyłem się w krótkim czasie po francuzku i
po
niemiecku, a po moskiewsku mówiłem tak

doskonale, że mnie wszyscy Profesorowie za to chwalili w Korpusie.
Czytałem
najzawilsze haraktery rosyjskie bardzo płynnie, i nikt prędzej odemnie
nie wygotował na rozkaz ani raportu, ani list kontrolli. Szkice
polowych
fortyfikacyj i kart, umiałem rysować na kolanie. A profesor uczył
mnie takich
przedmiotów, jakich w szkole nieuczono, i dawał mi książki w trzech
językach do

czytania, które mnie usposobiały na przyszłego Inżyniera. Nie wiem już teraz jak mi dni i lata biegły. Po polsku niewolno mi było nigdy przemówić i słowa, nawet wówczas, gdyśmy sam na sam byli z profesorem.

Raz zapomniałem się, i gdyśmy sam na sam byli, przemówiłem kilka słów po polsku do Profesora. Porwał mnie gniewnie za ramie, i wstrząsł mną silnie. "Błaźnie! czy nie wiesz że ci tylko do Boga wolno mówić po polska, bo to język święty!" Kilka dni nie mógł mi darować tego zapomnienia, więc pilnowałem się bardzo i czułem to, że to na hart mojej duszy wpływało. Tak zbliżał się wkońcu czas egzaminu, po którym miałem już wyjść z korpusu. Ostatnie półrocze pracował profesor ze mną bardzo usilnie, i dawał mi

wyobrażenie o nowych stosunkach życia w które wstąpić miałem. Bytność Cara była zapowiedziom w korpusie; przy egzaminie awansował zwykle Car osobiście celujących uczniów na oficerów. Cieszyłem się tem że dostanę szlify; ale profesor rzekł mi smutnie. "Dostaniesz szlify i pójdiesz na Kaukaz, boś Polak, a tam zginiesz od czerkieskiej kuli albo od febry kaukazkiej. Jabym życzył czego innego dla ciebie; może mi się uda zwrócić uwagę Cara przy egzaminie na ciebie, w takim razie bywa że Car ci każe prosić o łaskę, to proś żeby ci pozwolił w Korpusie Inżynierów pójść jesz-

cze do szkoły; a naucz mi się rodowód domu Cesarskiego bardzo
płynnie po
niemiecku i po francuzku. " I tu dał mi rodowód w obu tych językach
wypisany.

Z matematyki zostałem pierwszy wywołany do tablicy. Car stał tuż
koło mnie, a
zadanie odrobiłem bardzo płynnie, trzymając kaskiet na lewym ręku.
— Haraszo! krzyknął Car — jak się nazywa? zapytał.

"Mazurów" rzekł profesor.

— To z Russkich? rzekł Car.

Profesor się uklonił.

— Porucznik! krzyknął Car na to.

Podziękowałem po wojskowemu, i powróciłem do ławki.

Przyszła kolej na rysunki. Profesor mój przekładał Carowi plany przez
nas

rysowane. I widziałem i drżałem, że Car mój rysunek w ręku trzymał.
Car

przypatrywał się dłużej nieco mojej robocie, a profesor rzekł, że i w
pośpiesznym rysunku jestem biegły. Kazał mi wyjść z ławki, dał mi
kartkę papieru

i ołówek, i rzekł do mnie: wskazując na Cara.

"Tu główna kwatera, tam nieprzyjaciel, tu góry, tu las — jak i czem
obronisz

główną kwaterę? gdzie staną kolumny piechoty, gdzie artylerya i
asekuracya. Kor-

pus ma stanąć w szyku bojowym przed główną kwaterą. "

Przykląknę tuż przed Carem na jedno kolano, a położywszy kaskiet
na drugim

kolanie, począłem rysunek, rozpatrując się po sali.

— Nie spiesz się, rzekł Car, chcę mieć dobry rysunek.
Może tysiąc razy na rozkaz mego profesora robiłem takie zadanie,
więc z wielką
łatwością i wprawą odrysowałem planik i odznaczyłem każdą broń,
znakami
przyjętymi w naszych rysunkach wojskowych; poczem na kaskiecie
leżącą kartkę

podąłem Carowi. Wpatrywał się bardzo uważnie w rysunek i rzekł:
— Proś o łaskę. Rzekłem tedy:
Chciałbym być umieszczonym w szkole Inżynierów.
Car się zdziwił i zapytał:
— Czy umiesz języki?
Tu kazał mi profesor wyrecytować rodowód Cesarskiego domu, więc
powiedziałem go
po francuzku; i zostałem przeniesiony do Korpusu Inżynierów w
stopniu
Porucznika, i wyekwipowany na koszt skarbu, z tem zastrzeżeniem,
abym w korpusie
jeszcze wyższe kursa Inżynieryi słuchał.

Kiedym już był w korpusie Inżynierów, odwiedził mnie mój zacny
profesor i rzekł:
"A widzisz błażnie, źle ci radziłem? Przy jednym ogniu upiekliśmy
dwie
pieczenie, Ja zostałem za wasz egzamin awansowany w stopniu
Sztabs-oficera do
komunikacyi lądowych i wodnych, i postaram się o to, aby cię
przeniesiono pod
moją komendę; lepiej drogi szluzy i mosty robić niż bić się za Moskali
na
Kaukazie. Wiem że kraść nie będziesz, to będziesz miał poważanie i u
nich".

Jakoż zostałem za staraniem zacnego mego profesora, przeniesionym do korpusu komunikacyj lądowych i wodnych w stop-

niu Inżyniera, i przybywam tu za urlopem mojego dowódcy i dobrodzieja.

Byłem w Kaliszu chcąc odszukać mamę. Tam dowiedziałem się dopiero o śmierci

kochanego ojca; odwiedziłem grób dziadka i babki i ojca na cmentarzu, a

powziąwszy tam wiadomość od żydów, że się mama do Warszawy przeniosła, jechałem

spiesznie aby tu stanąć na święta, "Jestem tu" mówił i całował kolana matki.

Świtać poczynało, zanim się wzajemnie wyżalili sobie, matka synowi a syn matce.

Stara Barbara wchodząc ze świecą i kawą, zastała oboje jak ich z wieczora

zostawiła. Pani leżała na łóżku ubrana,

a u stóp na krześle siedział młody oficer zapłakany i blady. Barbara przyrządziła osobny pokoik dla gościa; zrzędziła podając kawę na to, że oboje

całą noc przegadali.

— Niegniewajcie się moja Barbaro, na przyszłość nie będzie tego; ale to ja przez

lat dwanaście niewidziałem mamy, to nie łatwo wynagrodzić sobie tę stratę.

Oficer posłał do hotelu Aneczkę, w którym był stanął, a doróżką z rzeczami

przyjechał służący jego po chwili. I było zadziwienia nie mało w sąsiedztwie,

gdy doróżka stanęła przed dworeczkiem wdowy.

Przebrawszy się w świeży mundur, wszedł Stanisław do pokoju matki.

— Nie pójdziemy mammo razem do kościoła? zapytał matki, widząc że się już także

zebrała Z oburzeniem rzekła:

"Co!! ja z tobą do Kościoła? ___ a cóżby ludzie na to rzekli żebym ja szła z

Moskalem przez ulicę. Wszyscy tu wiedzą że jestem wdową po

Poruczniku wojsk

Polskich, ja przy mundurze moskiewskim iść nie mogę. "Łzy stanęły

Stanisławowi w

oczach.

— A cóż będzie mammo. —

"Już i o tem pomyślałam mój drogi; otóż to będzie że, weźmiesz dymisyą i

zrzucisz ten mundur jak najprędzej. Ojciec twój chociaż mógł kupie

wioskę lub

folwark,

wolał się chować w tym pomiernym stanku, bo się bał tego, żeby się tobie nie

zachciwało być panem; ja pragnę żebyś ze mną razem na chleb pracował. Gdyby to

Ojczyźnie, niebroniłabym ci do śmierci służyć w wojsku; ale moskałom nie służ,

bo i ojciec twój poszedł przez nich ze świata, i mnie całe życie zatruli.

Niezmarnowałam ci tego com po moich rodzicach wzięła. Choć się biednie niby na

oko chowam, mam kilkadziesiąt tysięcy dla ciebie w szkatułce i w szychcie, bom

handlowała drzewem. Miałbyś być moskalem, to lepiej weź dymisyę i bądź drwalem;

a żeś się przecież czegoś nauczył w świecie, to

i w Warszawie tu umią ludzi cenić, i będziesz mógł i tu to robić
czegoś się
nauczył; tylko z tej skóry moskiewskiej wyjść ci potrzeba. Żeby nie
święto,
dziśbym ci sprawiła suknie, bo mi tak ciężko patrzeć na ciebie w tym
mundurze. "
O kilkadziesiąt kroków za matką postępował Stanisław, gdy weszła do
Kościoła,
tak samo gdy wracała do domu; ale gdy wszedł do pokoju, gdzie stało
święcone,
powitała go matka ze łzami, dzieląc się z nim święconem jajem. Po
nim przyszła
kolej na stare wierne sługi i małego Stasia, a matka oddając małego
chłopczynekę
synowi w ręce, rzekła:

"Ta sierota osłodziła mi parę lat życia, bądź mu opiekunem i oddaj mu
to co
tobie dobrzy ludzie dali".

Chwilą później przybyły sąsiadki, i wesołość uśmiechnęła się w
domku wdowy, bo

wszyscy dzielili radość z nią razem, że syn stracony powrócił.

W rok później przybył znowu Stanisław w Wielką Sobotę, do domu
matki z dymisią.

Pomimo to że był oficerem, kosztowało niemało zabiegów i pieniędzy
za nim się
zdołał uwolnić od wojska, i osiadł przy matce.

Tu upłynęło znowu lat kilka. Stanisław objąwszy ojcowiznę, nadał
całemu domowi
zupełnie inny obrót; najprzód skłonił matkę do tego, aby nie
pracowała tak

ciężko i aby zamknęła gospodę, co mu nie bardzo łatwo poszło;
następnie uzyskał
patent na cywilnego inżyniera, sprowadzał drzewo z pierwszej ręki
wielkimi
partyami, i prowadził budowlę z tak dobrą znajomością rzeczy, iż w
krótkim
czasie uzyskał wziętość, i w samem mieście i w okolicy.

Czasem tylko dawni przyjaciele szyprowie, stawali jeszcze gospodą w
domu;
wszakże już tylko jako goście, zachowując stare stosunki przyjaźni dla
poczciwej
wdowy, i wszyscy cieszyli się z nią razem, że stracony syn wyszedł na
ludzi, że
tak matkę szanuje, że się tak dobrze rządzi, i majątek wzięty po ojcu
powiększa.
Książeczka z wierszami Jachowicza, okuta w srebro, leżała na
pułeczce pod
obrazem Matki Boskiej; tysiąc razy miała ją wdowa w rękę,
pokazywała ją dawnym
znajomym, przedstawiając syna, opowiadała o jej cudownej mocy,
jaką miała dla
opuszczającego chłopczyny, gdy go porwano

z Kalisza; ale nigdy nie przyszło jej zapytać o to nikogo, ktoby to był
ten
Jachowicz, gdzie przebywa, czy żyje?
Gdy w roku wręczyło grono obywateli wybranych Jachowiczowi
"wieniec
obywatelskiej zasługi" w uznaniu cnót jego; rozeszła się ta wiadomość
gwarnie po
całej Warszawie, i doszła nawet niskich progów i strzech; bo
Jachowicz był

Opiekunem sierót, i założenie wszystkich ochronek warszawskich dla sierót i zaniebanych dzieci, było dziełem niezmordowanej jego usilności i zadaniem, któremu życie oddał.
A może to ten sam pytała zatroskana wdowa, mówiąc o tem z sąsiadkami; a jużć

zapewne, że ten sam, co się opiekuje dziećmi, będzie on tu za chwilę przechodził tędy do Ochronki, to ja go sąsiadce pokażę; a że poczciwe panisko, to się nie trudno będzie z nim rozgadać.
Tak się w istocie stało; w kilka czasów zabiegła wdowa Jachowiczowi drogę z uprzejmością i łzami przed domem swoim zapraszając do pokoju. Niewiedział o co chodzi, ale widząc łzy i słysząc prośby, wszedł bez namysłu do pokoju. A że był strudzony, usiadł chętnie na chwilę, i oczekiwał cierpliwie na żądania wdowy. Ona poskoczyła ku półce i podała Jachowiczowi w srebro okutą książeczkę. "Czy Jegomość

znasz te wierszyki, czy niewiesz, co to za Jachowicz je pisał?
Jachowicz spojrział w książkę i rzeki: "ja to pisałem; ale jakże to już dawno, jak to wyszło na świat, jak ta książeczka z ócz mi znikła". Tu wybiegła wdowa z pokoju, Stasiu, Stasiu! wołała, a stawiając syna przed Jachowiczem, rzekła mu: "To pan Jachowicz, padnij mu do nóg".

Jachowicz, który miał serce, uczuł się bardzo wzruszony, ale nie
pojmował ani
wyrazu wdzięczności tych ludzi, ani związku wierszyków swoich z tą
rodziną. Tu
wpadł nagle do pokoju Ludwik Pietrasiński, najserdeczniejszy
przyjaciół
Jachowicza,

który go od godziny szukał w mieście, a puściwszy się śladem jego,
odpytał go w
domu wdowy. Był niespokojny o Jachowicza bo od kilku dni widział
osłabienie
jego, i nie rad był temu, że bez niego wyszedł z domu.
Któż nie znał w Warszawie Ludwika Pietrusińskiego ? Mąż pełen
światła, niezłomny
charakter, mąż wytrwałej pracy, heroicznej poczciwości, poświęcenia
bez granic
dla Rodaków; mąż cichej, zakrytej cnoty i zasługi, wielbiciel i
przyjaciół
Jachowicza, którego drogi w życiu był świadkiem i podporą. On to
zgromadził
głównie pisarzy, którzy ten wieniec obywatelski dla Ja-

chowicza uwili; on po zejściu Jachowicza, był opiekunem jego
wdowy i sierót,
wydawcą pism jego, opiekunem wszystkich uciśniętych, zapoznanych
i udęczonech
na tej polskiej drodze.
Pietrusiński bystry i odgadujący każde serce poczciwe, pojął w jednej
chwili co
tu zaszło, i rzekł do Jachowicza: "Mój Stanisławie, to już najwyższy
wieniec
obywatelski, łzy tej matki i tego syna".

Tak tedy, jak wam tutaj te losy poczciwej rodziny opisałem, wziąłem
ręcz całą z
opowiadania, i cnot Ludwika Pietrusińskiego, i miło jest sercu memu,
że wyrazem czci i pamięci dla obudwu tych mężów, związanych z
sobą przyjaźnią i duchem,
mogę zakończyć te karty....